

ZŁA KREW

G R Z E G O R Z

GORIAI



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Cyfrowa Księgarnia](#).

Z Ł A K R E W

ZŁA KREW

G R Z E G O R Z

GORTAT



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2009
Text © by Grzegorz Gortat 2009

Projekt layoutu i okładki *Mariusz Filipowicz*

Nikt nie umie dokładnie wyjaśnić, co się w nas dzieje, gdy nagle odemkną drzwi, za którymi chowają się strachy dzieciństwa.

W.G. Sebald, *Austerlitz*

PROLOG

PODCZAS gdy wciąż mówił, wiedziony ciekawością wstałem z krzesła i podszedłem do okna. Musiałem wspiąć się na palce. Chciałem się przekonać, co widział, gdy całymi dniami wystawał w oknie; kiedy obserwował, jak ganiamy po podwórku albo tratujemy kwiaty w ogródku pana Bednarskiego. Nie było co oglądać: po lewej stronie rząd niskich, rachitycznych komórek, po prawej tył naszej dwupiętrowej kamienicy z parterową dobudówką, gdzie urządzono pralnię. Na wprost widok na podwójny drewniany wychodek. Żaden cymes, jak sam by powiedział. Wiodła tam wydeptana ścieżka; do czasu aż któregoś dnia w poprzek niej stanął wartburg towarzysza Polickiego i od tej pory trzeba było nadkładać drogi. Aha, były jeszcze cztery karłowate drzewka bzu, ale zasługiwały na uwagę przez dwa, trzy tygodnie w maju, kiedy obsypywały się kwieciami. Zapach dochodził aż do „mansardy”. Wiele podwórek przy Ogrodowej miało taką bżową oazę. Nazwa zobowiązuje. Tyle że dwa tygodnie perfumerii to trochę mało jak na całe dwanaście miesięcy życia.

Spodobało mi się to, co chwilę wcześniej powiedział o Tolstojowi i Rillem. Zająłem miejsce na krześle. Słuchałem.

— W Łodzi, jak w mało którym mieście na świecie, słyszało się i polski, i rosyjski, i niemiecki. Czy komuś to się nie podobało? Skądże. Czy ja kręciłem nosem na niemiecki? Ani mi to było w głowie. Niemiecki to cywilizowany język, można w nim wyrazić najsubtelniejsze myśli. Dawniej — w Łodzi, Berlinie,

Poczdamię czy Pradze — przychodził Niemiec do Żyda i mówił: „Panie Zimbelmann, z pana jest mądry człowiek, niech mi pan ze szczerego serca doradzi: mam zrobić tak czy tak?”. Albo przychodził i mówił: „Panie Dickermann, pan jest taki zdolny człowiek, niech mi pan uszyje ślubny garnitur”. Albo przychodził i prosił: „Panie Geldmann, pan jest taki bogaty człowiek, niech mi pan pożyczy tyle a tyle na niski procent”. Albo przychodził i mówił: „Panie Lanzmann, pan jest taki utalentowany człowiek, niech mi pan namaluje landszaft do salonu”. Tak było kiedyś. Niemiec przychodził do Żyda, nie z krzykiem: „Żydzie, daj!” albo: „Żydzie, zrób!”, tylko po ludzku rozmawiał: „Panie Geldmann, panie Lanzmann, panie Apfelmann, panie Dickermann, panie Zimbelmann, panie Juselmann, panie Adelman, pan jesteś akurat taki człowiek, jakiego mi potrzeba”. I co? Ni z tego, ni z owego nastąpiła zmiana o sto osiemdziesiąt stopni. Niemal z dnia na dzień. To było tak, jakby ten Niemiec i ten Żyd po przebudzeniu znaleźli się w innym świecie. Tylko że Niemiec nic na tym nie stracił, a dla Żyda nastąpiły ciężkie czasy. Bo ktoś zadekretował, że z dniem tym a tym Geldmann, Apfelmann, Lanzmann czy Dickermann przestał być człowiekiem. To wielkie słówko „mann” z dnia na dzień przestało mieć znaczenie. Ale w oczy wciąż kłuło. Zastanawiałem się kiedyś, czy gdyby potrafili zabrać Żydowi także nazwisko — gdyby do złupionych żydowskich domów, sklepów, warsztatów, fabryk mogli jeszcze dorzucić nazwiska — to może by darowali Żydowi życie? Może by darowali życie przynajmniej niektórym Żydom? Ale nie, życie to pospolity towar, łatwo się nim handluje, zawsze wychodzi superata — za to nazwisko, o, nazwisko jest w cenie! Przecież identyczne nazwiska nosili tak zwani stuprocentowi Niemcy! Więc Hitler i jego kompani musieli rozstrzygnąć, który Guttman jest dobry, a który zły. Który zasługuje na

życiową przestrzeń, a którego trzeba się pozbyć. O krew idzie, orzekli. Złej krwi nie można mieszać z dobrą. Jak człowiek coś takiego usłyszy, to z początku gotów pomyśleć: no, to wcale nie takie głupie. Dolej kubek zepsutego wina do stągwi dobrego, a całą stągiew zakwasisz. Ale wino to nie krew. No i ile trzeba by tej złej krwi, żeby zepsuła dobrą? Czy wystarczy kropla z palca? A może kubek? Albo dwa? Tego się nie da zmierzyć. Ale jak się zrobiło jeden krok, dlaczego nie zrobić następnego? Żeby mieć pewność, stuprocentową pewność, musimy wytoczyć całą złą krew, postanowili, niech nic nie zostanie. Ja takiego sposobu myślenia nie rozumiem, ja nawet nie podejmuję się go wytłumaczyć, ja ci tylko słowo w słowo powtarzam. Nie potrafię wskazać w całej tej ideologii jednego punktu, wobec którego rozum by się nie buntował. A czy w takiej sprawie, pytam, potrzebny byłby aż wybitny rozum? Skazać syna za winy ojca, bo niby w ich żyłach płynie ta sama krew — mądrze to tak? A co dopiero odnieść ten punkt widzenia do całego narodu? Więc gdybyś mnie spytał, dlaczego stało się tak, jak się stało, to ja ci nie odpowiem, bo nie wiem. Wiem tylko, że trzeba wielkiej nienawiści, wielkiej nienawiści albo wielkiego strachu, żeby wpaść na taki szatański pomysł. Skąd się bierze taka wielka nienawiść, skąd taka wielka nienawiść i strach — no, tego to ja już nie wiem.

Pytania, dodaje, zataczają koła, wracają bez odpowiedzi.

W jego historii, w mojej historii, próbuję znaleźć wspólny początek. Chociaż najlepiej zrobię, zaczynając od siebie.

I.

PRZEZ całą drogę strach mnie nie opuszczał. Wyszliśmy z tramwaju i prawie biegiem wpadliśmy do bramy. Bałem się za nas oboje. Przemknęliśmy schodami na drugie piętro, stanęliśmy przed zamkniętymi na klucz drzwiami, za którymi zaczynał się tamten korytarz. Nacisnęła dzwonek. Czekaliśmy. Dzwoniła w umówiony sposób. Za przeszklonymi drzwiami zamigotał cień i rozległ się chrobot klucza w zamku. Podążyliśmy oboje za milczącą gospodynią wąskim korytarzem, przesiąkniętym wyziewami obiadów i słodkawą wonią gazu. Pilnowałem się, by w półmroku nie trącić blaszanych wanienek, butów i pudeł zagrających przejście. Dopiero w mieszkaniu nastąpiło powitanie.

— Urosłeś! — orzekła pani Łopieńska.

— Niedługo kończy pięć lat.

— Jak oni mogli tak z panią postąpić?! — Łopieńska spoglądała ku ścianie, która oddzielała jej małą klitkę od niewiele większego mieszkania rodziców ojca, gdzie przyszedłem na świat. Tam mieściło się „siedlisko zła”.

— Pan Bóg ich osądzi.

— Co dziecko im zawiniło? — Łopieńska brała ze mnie miarę krawieckim centymetrem, znakowała materiał mydłem i wpinała szpilki. Poddawałem się tym zabiegom bez fochów, bo z chaosu zaznaczonych krzyżyków, kresek, szpilek i fastryg wyłaniało się nowe ubranko.

Ściana między mieszkaniami była cienka, więc mama zniżyła głos:

— Czasem różne myśli mnie nachodzą. Może to kara boska?

— A za co Bóg miałby panią pokarać? — Łopieńska przytuliła mnie z całą mocą niespełnionego macierzyństwa.

Wzrok Zofii Bodler zdawał się mówić: „Lepiej niech dzieciak o takich sprawach nie dowiaduje się przed czasem”.

Myliła się. Zdążyłem poznać historię jej panińskiej miłości i feralnej przysięgi dziadka. „Po moim trupie!” — zawołał dziadek (Stanisław odziedziczył wszystkie cechy Karlickich, z oślim uporem na czele), gdy młodzi przyszli prosić o błogosławieństwo. Rozpiął swój mundur leśniczego, wyjął z szafy służbową fuzję, przyklęknął, lufę oparł o pierś i z palcem na spuście obwieścił, że póki żyje, zgody na małżeństwo nie da. Poprzysięgła sobie, że na złość ojcu poślubi pierwszego lepszego. Ilekroć to powtarzała, dawała do zrozumienia, że winą za nieudane życie obarcza właśnie dziadka Stanisława.

Według mnie bezpośrednią sprawczynią nieszczęścia była pani Kozłowska. Gdyby nie umarła, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Kozłowscy mieli lokum w przedwojennej kamienicy przy Żeromskiego. Drzwi w drzwi z nimi mieszkała starsza siostra mamy, która po wystąpieniu w czterdziestym szóstym z korpusu pielęgniarek podjęła pracę w dawnych zakładach Poznańskiego. Ciotka Ziuta wkrótce wyszła za mąż i doczekała się córki; Kozłowscy, bezdietni, całe uczucie przelali na ciotkę i małą Basię. Stefan, mąż ciotki, wytrwale pograżał się w alkoholizmie, ciotka pracowała za dwoje, a Kozłowscy odgrywali rolę przyszywanych dziadków. Częstymi gośćmi u Kozłowskich byli Bodlerowie — Natalia, Michał oraz ich dorosły syn. Tadeusz — wysoki,

postawny, o czarnych, kręconych włosach — skończył właśnie służbę w Marynarce. Kozłowska przed ciotką Ziutą wynosiła Tadeusza pod niebiosa. „Jak to jest — zagadnęła ją pewnego razu ciotka — Bodlerowie mają dwóch dorosłych synów, a pani wciąż tylko Tadzio i Tadzio, o młodszym ani słowa?”. Kozłowska pokiwała znacząco głową. „Bo i mówić nie ma o czym, pani Ziuto. Z tego ich Kazika to jest taki, nie przymierzając, proletariusz”.

Kozłowska wkrótce zmarła i Kazik — wraz z Natałką, Michałem i Tadeuszem — zjawił się na pogrzebie. Tak poznał przyszłą żonę. Zofia Karlicka, zwabiona mitem fabrycznej Łodzi, w ślad za starszymi siostrami przeniosła się z podłódzkiej leśniczówki do miasta. Od dnia stypy Kazik chodził za nią jak cień. Nie dała się długo prosić. Spełniła się zapowiedź zemsty, której patronował dziadek Stanisław i jego służbowa fuzja.

Na przyjęciu weselnym pan młody upił się i wylądował pod stołem. „To ze szczęścia” — zapewniał dziadek Michał pannę młodą. Od dnia ślubu powodów do radości ojcu nie brakowało, bo teraz upijał się regularnie. „Gdybym wiedziała wcześniej!” — żaliła się Zofia Bodler. „Wyszumi się — pocieszały ją starsze siostry, od lat zamężne. — Który chłop nie lubi wypić?”. Dziadkowie, patrząc na rosnący brzuch synowej, zapewniali: „Kazik się zmieni. Ptasiego mleka wam nie zabraknie”.

Obie rodziny — cztery dorosłe osoby — gnieździły się w klitce przy Limanowskiego. Bodlerowie przenieśli się tam z chłopcami podczas wojny, gdy Niemcy w odwecie za odmowę podpisania listy folksdojczów wyrzucili ich z dwupokojowego mieszkania przy Kilińskiego. Dwa małżeńskie łoża stały obok siebie, na noc oddzielane przepierzeniem. Zofia Bodler postanowiła rodzić w domu. Winę za taką decyzję, która cudem nie zakończyła się tragicznie, ponosił personel medyczny szpitala

w podlódzkim Łasku. Na przełomie pięćdziesiątego szóstego i pięćdziesiątego siódmego o sprawie było głośno w całej Polsce. W szpitalu łaskim jednego dnia rodziły panna i mężatka. Z winy lekarzy niemowlęta zamieniono. Panna pierwsza opuściła szpital, w przydrożnych krzakach noworodka uśmierciła, by bez hańbiącego balastu powrócić do rodzinnej wsi. Gdy druga z położnic odkryła pomyłkę, wszczęto poszukiwania. Wieść o horrorze rozniosła się po Polsce. Zofia Bodler, z typowym dla Karlickich uporem, postanowiła: „Do szpitala nie pójde! Choćbym miała rodzić tu, na korytarzu, dziecka konowałom nie oddam!”.

Traciła przytomność, akuszerka okładała ją po twarzy, podczas gdy ja, utknąwszy w połowie drogi, byłem bliski uduszenia i wahałem się, który świat ostatecznie wybrać. Ponoć dopiero modlitwa dokonała cudu. Jeżeli o mnie chodzi, od historii o cudzie wolałem opowieść o sputniku. Mniej więcej sześć miesięcy po moich narodzinach dziadek Michał, po którym przejąłem imię, miał odezwać się przy kolacji: „Bardzo dobrze, że Rosjanie wystrzelili tego sputnika”. „Tak, to wielka sprawa” — podchwycił ojciec. „A odkąd ty komunistami się zachwycasz?” — Natalka huknęła na męża. „Bo to widzisz, Zosieńko — ciągnął Michał, zwracając się tym razem wyraźnie do synowej — dawniej tylko król rodził się pod własną gwiazdą. A dzięki ruskim każdy swoją gwiazdę może mieć. Lepszy rydz niż nic”.

Pierwszy sputnik dokończył żywota na początku 1958 roku. Małżeństwo Zofii Bodler utrzymało się niewiele dłużej.

— Nadal mieszka z rodzicami — informuje Łopieńska, kończąc fastrygować lewy rękaw marynareczki. — Która by go chciała?

— Mnie co do tego!

— Prawie dzień w dzień pijany wraca. Nie mają z nim łatwego życia. Słyszę przez ścianę, jak Natalka pomstuje. Michał dawno machnął ręką. Serce mu nawala.

— Jak sobie wychowali, tak mają.

— Może. Ale Tadeusz zupełnie inny. Jakby nie ta sama krew. I z czego to się bierze?

— Codziennie do Boga się modłę, żeby Michał w ojca się nie wdał.

— Co też pani! — Łopieńska bierze mnie za rękę, zapala żyrandol pośrodku sufitu i prowadzi do wysokiego lustra w rogu pokoiku. — Za tydzień odbiór. Na Wigilię będzie jak znalazł.

Czeka nas przeprawa przez korytarz. Łopieńska wychodzi pierwsza, daje znak. Za progiem zbieram się na odwagę i zerkam na sąsiednie drzwi. Mama strofuje mnie szarpnięciem. Żegnamy się spojrzeniem z Łopieńską i odrapaną klatką schodową docieramy na parter. Przed bramą zapieram się. Z zadartą głową próbuję w świetle latarni odczytać napis.

— Tramwaj nam ucieknie! — pogania Zofia Bodler.

— Li-ma-now-skie-go jeden-jeden-dziewięć — zaczynam sylabizować.

— Sto dziewiętnaście — poprawia mnie.

Nadjeżdża tramwaj. Biegiem puszczamy się do przystanku. Masa żelastwa, która w ciemności sunie ze zgrzytem prosto na nas, napawa mnie lękiem. Z opowiadań Zofii Bodler wbił mi się w pamięć obraz: uciekając przed kolejną pijacką awanturą, w mroźną zimową noc wybiega z mieszkania dziadków ze mną na rękach, jedzie pierwszym lepszym tramwajem na krańcówkę i puszcza się na przestrzał po krzyżujących się torach. „Gdyby nie dziecko, tobym ze sobą skończyła” — lubiła zwierzać się sąsiadkom. Nie wiedziałem, czy jest mi wdzięczna, czy — na odwrót — mnie obarcza winą za przymus trwania przy życiu.

Jedziemy ciemnymi ulicami Łodzi. Wreszcie po prawej stronie wylania się biała bryła pałacu Poznańskiego. Wsiadamy i skręciwszy w prawo, zapuszczamy się w głąb Ogrodowej. Zostawiamy za sobą fabrykę i ciągnące się szeregiem przyfabryczne trzypiętrowe kamienice z cegły, solidne pamiątki po żydowskim fabrykancie Izraelu Poznańskim, hojnym fundatorze ołtarzy do położonego w sąsiedztwie chrześcijańskiego kościoła. Za torami kolejowymi, za szlabanem zaniedbane pojedyncze domy, które przedwojenny kapitalizm ledwo musnął, wznoszą się na wysokość niskich dwóch pięter, z rzadka pałą się latarnie. Staram się nie patrzeć przed siebie — nigdy nie wiadomo, co się wynurzy od strony pobliskiego cmentarza. Gdybym był dorosły, nie znałbym strachu. A Zofii Bodler ubyłby jeden kłopot — przestałaby się zamartwiać, co ze mnie wyrośnie.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze o istnieniu Franciszka K. ani bydlaka Smierdiakowa. Od spotkania z Kafką, Dostojewskim i klątwą złej Karamazowowej krwi dzieliło mnie pięć długich lat, ale pytanie o rolę fatum (kłania się profesor Bajgelman) i wpływ przypadku przychodzi samo z siebie. Ciekawe, myślałem więc w takich chwilach, co by było, gdyby dziadek Stanisław pociągnął wtedy za spust?

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Cyfrowa Księgarnia](#).